

P o w r ó t O d y s a

Za górą ranny parowóz:
heksametr zaprzęgnięty w gawrony.

Krowy ryczą. Drzwi skrzypią.
To poezja.

Dołem serca - a w pętli z nieba
elegie wiosną wypuszczone z klatek.

Teraz wuj Odys
rozda je dzieciom cukierki i metafory.

Wuju...
Faeton tonie w wiśle skrzydlatej.

II 1.980.195



cim. konsp.



2001 k 587/58

K a j a k i e m

W wiślanym aksamitnym pudle
słyszysz
jak na mieliźnie syreni się statek -
pług parowy wgryziony w kamienisty pagór -
zastopowana fabryka.

Wiosenny pisk słowika
pluśnie w czarny orszak pod pianą ważek,
w pochód - szmer między mostami -
- cichy -
jakby niósł trumnę nie skrzypce..

Jeżeli kochasz -
uderzając zroszonym smykiem, błyszczącym szlabanem
uwiędkę skiby -
- nie zabij słowika
co jeszcze przed tyńcem
wpadł do ogłuchłych skrzypiec.

P e j z a ż

W głębokim pływającym balonie
w kropli nieba, jedwabiu i błękitnej miki
zielony maleje pierścień.

Nad niebem stoi wierzba okrakiem.
Bieleją mokre kaczeńce, resztki upału.

Kołysze się staw, Wodne kawki płyną przeźroczyście.
Czapla nogą odpycha szybujące niebo.

Już obłok rosy rozrywa ciemny pierścień:
na topniejącej, chłodnej wyspie popłynę
proszącym rękami
liczyć kaczeńce
ciemniejące nad mrowiem kawek.

Teraz je mijam wolno jak dzień
i na mokrej tratwie leżąc
upartymi palcami szukam i czuję
jak rozkwitają w spróchniałej wierzbie.

Jedyną kotwicą jest nieruchomy księżyc
zanurzony głęboko w bukiet mrugających kaczeńców
i pewność że przyjdziesz,
nim po krzywiźnie jedwabiu spłyną w dół,
w rosnący pierścień,
pod nogi przybyłej czapli nieruchomej jak wierzba.

I ły y

Mikość,
którą poeta utoczył z wymyślnej metafory
jak perłę, jak ły, jak brylant,
uciekła mu z poematu.

Czy potrafi
zamknąć ją znowu w perłę, w brylant, w ły,
czy też dopiero na niepożytecznej skroni
skropi mu się
w okrągły sekret lufy ?

Tę metaforę
wytoczył na precyzyjnej obrabiarce
sam Pan Bóg nie umiejących płakać ani pisać wierszy.

Więc raczej niech żyją perły, brylanty i ły.

S e n

Kwiaty, które dobry staruszek tydzień temu położył
- na pustym grobowcu -
dziś jeszcze pachną.

Dziś jeszcze kwitną jak sen,
który nigdy się nie sprawdzi.

Choć uszczęśliwił mnie
na czas krótszy od niedokończonej myśli,
od zapachu,
który zerwał wiatr
- zamiast owocu.

Radość, która była we mnie jak gołąb w zorzy,
pozostawiła jeden tylko ślad:
dzisiejszy dzień
zmieniony na tysiąc nienawistnych jutro.

A człowiek z mojego snu
miał dłonie przez które przeświecały gwiazdy.

A uśmiech jego piękniejszy od kwiatów,
które nie wiedły
i od najbardziej poetyckich słów.

Z kadzielnicy rozkołysanej jak bezdźwięczny dzwon
co woła na modlitwę fosforyzujące wajgelie
wyszła pieśń;
miała skrzydła romantycznego poematu
i nazywała się moją śmiercią.

I wiem,
że noc, która za chwilę nadejdzie,
to skonkretyzowanie uśmiechu staruszka,
zapachu
kwiatów
i szumu skrzydeł ze światła.

I wiem że

I nie wiem
kto płakał na moim pogrzebie ?



+ +

Gołębie skrzydła niosą tęczę nad las.
Topory biją. Szept piór
serce w korze ucisza.

Żyto kwitnące na żyznej nowinie
przymyka oczy i las:
to szumi chmura żytniego kwiatu.

Rój pszczoł, niepokój ukoi tylko jedno:
gorące pisklę, które kładziesz mi na wargi,
kiedy tęczę i ramiona zarzucam nad głowę.

Wtedy łąka przybija do nienazwanych gwiazd.

N a 74 / y m k i l o m e t r z e

Wyścig pierzastych łabędzi i falny gniew
to koniec nieba.
Wieczór z za Bielan i grad -
serce jak Bałtyk.

Już i las, który krzyczał, umiera.

Ucina strugi złachmaniony żagiel.
Wisła ?
Jaskrawa strzecha w nocy ?

Strach.

Zosiu. Daleko do przystani.
Sytość jest tylko w marzeniu
jak słońce w pudełku.

Gdzie dobry Dniestr się pali
tam dopłynę.
I w pierwsze spotkane łabędzie
zawinę słońce jak w żagiel -
odchucham, utulę,
i mokre wyniosę na przystań.

Trzeci most

Gina

w brzdękliwym tonie skrzypków Kamile
nad zielonym, zielonym moczarem
w drogi nieznane płyną.

Słońce parzy zielenią czerwone koła w oczach
- mdlejące ramiona rozprężę
tęcza wypija oczy i moczar.
Torpedą w niebo skoczę
a na Wiśle
w sztywne wiosło się zwęzę.
Łódź płynie %
Naprawdę kosicie w wodzie niebo płytkie jak len,
bo już mię objął spad i płynę zwiśle
naukos pod Trzeci Most,
co jak zaduża sieć mię nie uchwyci.
- Żelazne pudła i otwarte wieka -
to nisko pod plantem mija się cień od wiosła
i żelazna krata.
Chwila - i spadek w białą pianę i bełkot

i słychać tylko daleki krzyk ludzi nad rzeką
i gwizd policjanta.

Z o r z a m i e j s k a e l e g i a

Smutek czterech ścian wyniesiony na szumiące pole
zorza przed miastem w południowym skwarze
los przepiórki w topniejącym kwadracie żyta
hulajnoga na Place de la Madeleine
uśmiech mojej przyjaciółki na operacyjnym stole

Nie płacz Nastiu ten pan przyjedzie w który wtorek
pies Burek powiedział mi że zakopaną kość podmył strumień
ten pan Don Kichot
jasnym mieczem przypiął resztę żyta do wesołej przepiórki.

Tak świecą w Krakowie dachy i tak wieże
bo wierz mi
zorza miejska elegia może być smutniejsza
niż ja i my
niż szum czterech ciasnych ścian żyta pulsującego jak serce

K r a k ó w r a n o

nad snem się ułożył pełny obrzask
- dni niezwyciężona ciągłość.

Potem,
jak bzy w bulwach nierzkwitłą, kędzierzawą nagość
sączyły z latarni opryskanych cieniem -
gotował się gołębiem bulgotem
plac pod naiwnym dniem, dywan rozpostarty na płask.

Jak w bżowy dzwon zawiesić serce nabrzmiałe białym świtem ?
długie tęsknoty omotać wzwyż latarni i drzew,
przybitych jaskrawym księżycem ?
ustami pieścić nieba blednące gołębie
wiszące ponad świtem mrugając ekiście ?

Jak zmieścić śpiące miasto w rozhuśtanej koi,
w szybce katedry;
gołąb wrysowany w oków
wytrysnął rosą rozbudzonej fali
w baniek, białych bulgotów uwieńczonych masztem
wieży milczący połów.

Kwit zaszczutych wzruszeń, bez przycięty w szpaler
wzdłuż Plant, pod konstelacją rozgruchanych pereł,
wzdłuż cygar wygasłych, masztów dymiących białym sztandarem
- masz ten
brzask - co upadł głodnym ptakiem na bruk, jak na dywan.

E g z e g e z a m i ł o ś c i d o m o j e g o
m i a s t a

Pachnące kulisy Plant to wieczne Dni Krakowe i romantyczny teatr. Tu pocałunki są jak oszczędne uśmiechy i tylko pod kulistą lampą realizują sens cienia.

Co wieczór mały synek na tempach dnia uczy się zbrodni i pieniędzy. A kiedy żunę rana oznajmia wilgotne syreny, z nad Wisły mgła, ruchoma taśma snu nadciąga jak niskie niebo. Gdyby nie wieża z koroną - upadłoby. Gdyby nie jasny kosmyk włosów przechodzącego mężczyzny - nie było by go. Bo tylko wschód albo uśmiech może rozwiązać węzeł ulicznej perspektywy i od asfaltu, na którym śpi już tyle naszych kroków, odepchnąć napuchłe od snu niebo.

A kiedy upaść błękitną klingą połączy dachy wążutkiej ulicy, wtedy Robin dobry druh, mały grabieżca, na A - B wynosi cały Sikornik wczesnych konwalij, sprzedażnych uśmiechów i niedopowiedzeń. Weź go za rękę mokrą od rosy, gorącą od pośpiechu: tak równo i bez wahań bije puls gło-dującego dziecka, które jak wymyślna metafora zabłąkana w brukowej gazecie nie wie, że istnieje poezja.

Weiczoorem sprzedamy ci jeszcze Sen Nocy Letniej. Bo kiedy nie ma miłości wystarczą Planty.

